

Jan Borkowski

Terroryci czy bojownicy

Doctrina. Studia społeczno-polityczne 6, 309-317

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Borkowski
Akademia Podlaska
Siedlce

Terroryści czy bojownicy

**Phil Rees, *Kolacja z terrorystą. Spotkania z najbardziej poszukiwanymi bojownikami na świecie*,
przekład Beata Dąbrowa-Kość, Grzegorz Kość,
Kraków: „Uniwersitas” 2009, 450 s.**

Początek XXI wieku i trzeciego tysiąclecia, jakby na przekór hura optymistycznym wizjom niektórych proroków politycznych, nie zaznaczył się w historii najnowszej poszerzeniem granic wolności, ociepleniem stosunków między odmiennymi kulturami i religiami, wzrostem bezpieczeństwa i spadkiem jego zagrożeń w skali globalnej. Znamienną cechą tej inicjacji, wydaje się, była i chyba nadal jest swoista dynamika tradycyjnych i nowoczesnych form radykalnej konfrontacji między różnymi biegunami i podmiotami bezwzględnej, raz otwartej, innym razem ukrytej gry o dominację, władzę czy prawo do odmiennie pojętego istnienia i funkcjonowania, więc nie tyle triumf partnerstwa, równości, dialogu, lecz spektakularna obecność agresji, nierówności, monologu i protestów odcisnęła piętno na przełomie wieków.

Najbardziej wymownym, jednym z wielu, wyrazem konfrontacyjności między pierwszoplanowymi uczestnikami gry o władzę i wpływy w okresie przełomu była i nadal jest barbaryzacja relacji między radykalną częścią świata kultury muzułmańskiej i kultury zachodniej. Dramatyczną ekspresją owej ekstremalizacji jest najnowsza fala terroryzmu islamskiego i „wojna z terroryzmem”. Ściślej rzecz ujmując i jedna, i druga strona zwarta w konfrontacyjnym klinczu uznaje siebie nawzajem za terrorystycznego demona, wyższość swoich racji i niemoralność drugiej strony. Obie strony niezbyt kwapią się do przerwania krwawej konfrontacji i rozpoczęcia zdeterminowanej i równej interakcji dialogowej. Racje i motywy obu stron nie jawią się jako całkiem jasne, oczywiste i szczerze, jeżeli spojrzymy na nie z perspektywy neutralnej, racjonalnej, zewnętrznej, niestereotypowej i nieuprzedzonej.

Erupcja nowej fali terroryzmu dała asumpt wzrostu zainteresowania opinii publicznej, analityków, badaczy, publicystów itp. kwestiami związanymi z fizycznymi i pozasiłowymi aspektami przemocy politycznej. Skutkuje to lawi-

nowym wzrostem liczby rozmaitych publikacji poświęconych terroryzmowi, niestety, nie zawsze idący w parze ze wzrostem ich wartości poznawczej.

W tym kontekście wyjątkowo inspirującym wydarzeniem wydawniczym wydaje się być ukazanie się książki Phila Reesa, przewrotnie zatytułowanej *Kolacja z terrorystą. Spotkania z najbardziej poszukiwanymi bojownikami na świecie*. Powyższy tytuł zrazu rodzi ambiwalentne odczucia oraz impulsy umysłowe, a u niektórych, na przykład nazbyt jednoznacznie, dogmatycznie widzących świat i jego problemy – może wywoływać opór i sprzeciw.

Praca ta, na tle setek innych publikacji, także naukowych, jawi się jako warta szczególnej uwagi, namysłu intelektualnego oraz dyskusji, bowiem jej autor włożył wiele twórczej pracy żeby uzyskać efekt finalny.

Phil Rees urodził w Walii, wychował w Stanach Zjednoczonych, a od wielu lat pracuje w renomowanej brytyjskiej stacji telewizyjnej BBC, dla której przygotował i nagrał dziesiątki reportaży z różnych „gorących” i niebezpiecznych zakątków świata. Wyniki jego mozołu dziennikarskiego są bardzo interesujące z naukowego punktu widzenia, bowiem charakteryzuje je obiektywność, rzetelność, konkretność, niebalastowość, bogactwo i empiryczna bezpośredniość. Nie wszystkie teksty naukowe o terroryzmie mogłyby w tym względzie konkurować z *Kolacją z terrorystą*.

Autor dotarł i rozmawiał, niejednokrotnie ryzykując własne bezpieczeństwo, z autentycznymi, znanymi i anonimowymi terrorystami (bojownikami). Uzyskał od nich bezpośrednie relacje werbalne i obrazowe, które analizuje i udostępnia jak wytrawny badacz. Na marginesie zaznaczmy, że tylko nieliczni naukowcy mieli sposobność prowadzić rozmowy i wywiady z bezpośrednimi uczestnikami działań ekstremistycznych.

Decydującym impulsem, który wpłynął na ukierunkowanie poszukiwań zawodowych Reesa było pewne krwawe wydarzenie sprzed trzydziestu lat. Wówczas mógł obserwować reakcje wielu Irlandczyków na wieść o śmierci lorda Mountbattena i jego 14-letniego wnuka, którzy zginęli w zamachu bombowym na łódź, którą płynęli, zorganizowanym przez Irlandzką Armię Republikańską. „Z niedowierzaniem przyglądałem się, jak obecni w barze mężczyźni i kobiety w różnym wieku, a także dzieci, śpiewali, tańczyli i wznosili toasty, by uczcić wyczyny IRA. Zabójców okrzyknięto dzielnymi bojownikami walczącymi (...) o zjednoczenie Irlandii (...) Nie mogłem pojąć jak ci przyjaźni wobec mnie, normalnie wyglądający ludzie, mogli świętować na wieść o takim okrucieństwie. (...) wówczas to postanowiłem całe moje wysiłki skoncentrować na poszukiwaniu znaczenia słowa terrorysta” (s. 7, 8). Długoletnia praca i rozmowy z terrorystami (bojownikami) z Irlandii, Algierii, Hiszpanii, Palestyny, Egiptu, Kaszmiru, Bali, Iraku, Kolumbii, Libanu itp. oraz refleksja z tymi doświadczeniami związała dały Autorowi możliwość próbowania zrozumienia, dlaczego ci ludzie posuwali się do aktów krwawej przemocy, oraz, dlaczego ich liczni zwolennicy mogą entuzjasmować się z powodu śmierci i cierpienia swoich wrogów. Rees nie zajmuje się ocenianiem czynów bezwzględnej przemocy, lecz dąży do ukazania skomplikowanego, nader niejednoznacznego tła historycznego, politycznego, kulturowego wydarzeń, które bada i relacjonuje.

Książka Phila Reesa składa się ze wstępu, szesnastu rozdziałów, konkluzji, minisłowniczka wyjaśniającego podstawowe pojęcia i nazwy oraz z indeksu ułatwiającego odszukanie konkretnego nazwiska, terminu itp.

Już we wstępie Autor sygnalizuje, że przez całe swoje dwudziestopięcioletnie życie zawodowe próbuje poszukiwać znaczenia słowa „terroryzm”. Czyni to nie tyle studiując uczone teksty, lecz przede wszystkim podróżując do wielu „wybuchowych” regionów świata i wnikliwie rejestrując na taśmie filmowej, na papierze i na innych nośnikach informacji konkretne fakty, wypowiedzi uczestników krwawych wydarzeń, różnych buntowników, bojowników, terrorystów, ich przeciwników, analityków, ofiar przemocy itp. Następnie zebrany materiał empiryczny porządkuje oraz prezentuje w oryginalnej postaci, ukazując niezwykle uwikłanie, gordyjską naturę opisywanych przypadków przemocy politycznej. Rees wobec stron konfrontacji siłowej stara się być równie chłodny, bezstronny, nie ujawnia osobistego stosunku do spotykanych aktorów różnych scen przemocy oraz następstw ich ekstremalnego działania. Autor jawi się jako wytrawny znawca przeszłych i aktualnych uwarunkowań dokumentowanych casusów przemocy, więc zapewne wcześniej analizuje setki stron różnych źródeł wiedzy.

Choć wielu laikom i fachowcom wydaje się, że wiedzą co znaczy słowo „terroryzm”, Autor przestrzega przed nadmiernie instrumentalnym, pochopnym jego stosowaniem. Pokazuje jakże często jest ono makiawelicznie wykorzystywane przez zdeklarowanych, zaangażowanych emocjonalnie, interesownych politycznie uczestników świata polityki. Dwadzieścia lat przed 11 września 2001 roku wielu naukowców, dziennikarzy, znawców języka, obiektywnych analityków miało przekonanie, że „kto dla jednych jest terrorystą, dla innych może być bojownikiem o wolność” (s. 9). Zgliszcząca WTC pogrzebały szanse na umiarkowane, ostrożne używanie terminu „terroryzm” i „terrorysta”, a słowa te, podobnie jak wiele innych kontrowersyjnych pojęć stosowanych powszechnie, mogą i są wykorzystywane, nadużywane w dyskredytowaniu rzeczywistych i domniemych sprawców przemocy politycznej. Walczący ze sobą wrogowie, co wcześniej zauważył George Orwell, celowo deformują znaczenie słów, wiedząc, że one stymulują określone myślenie, a ono wywołuje złe emocje oraz nakręca spiralę agresywnego działania.

Autor *Kolacji z terrorystą*, przez wiele lat badając konkretne, dramatyczne akty przemocy, stara się wypracować definicję terroryzmu, ale bez jednoznacznego efektu – nie może określić jasnego, bezstronnego jego rozumienia. Podaje wiele przykładów zawodności, wątpliwości, dwuznaczności stosowania praktycznego tego terminu. Słusznie uważa, że jednym z koniecznych warunków rozumienia istoty tej formy agresji jest udostępnienie szerokiej opinii publicznej pełnej wiedzy o złożonych przyczynach, tle konfrontacji między wrogimi stronami, poznanie ich racji, a to umożliwi realne zmaganie się z różnymi ekstermizmami i patologiami. Dodam od siebie – nie tylko i nie nade wszystko metodami siłowymi.

W rozdziale pierwszym, *Wojna przeciw czemu?*, Phil Ress udanie przedstawia zawłość i relatywność stosowania słowa „terroryzm” i „terrorysta”. Przytacza interpretacje słownikowe, naukowe, dziennikarskie, zabijających i za-

straszających siebie stron. Niestety, z tej dyskusji nie wyłania się jasna perspektywa definicyjna, ale nic dziwnego, bo uwikłania polityczno-historyczne nie dają większej nadziei na spotkanie na wspólnym polu interpretacyjnym. Można się zgodzić, co do jednego – terroryzowanie polega na zastraszeniu jednych ludzi przez drugich (lub nawzajem) przy użyciu różnych środków w celach politycznych. Nie ma zaś i chyba nigdy nie będzie zgody, co do tego, kto jest, był i będzie terrorystą. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że nazwa ta ma dość jednoznaczne konotacje skrajnie negatywne. Jest jednak przypadek redukcji wątpliwości interpretacyjnych. Ma on miejsce wówczas, gdy sprawca aktów terrorystycznych, z dumą lub bez niej, nazywa siebie terrorystą lub jest tak nazywany i temu nie zaprzecza. Wszelkiej maści anarchiści, którzy jednostkowo uderzali w poprzednich wiekach w funkcjonariuszy różnych monarchii, nie przejmowali się, gdy reżimy określały ich mianem terrorystów. Rewolucjoniści francuscy (1789–1794) czy bolszewicy w Rosji Radzieckiej oficjalnie stosowali zorganizowany system terroryzowania swoich przeciwników z głębokim przekonaniem o konieczności takich poczynań. Na Bliskim Wschodzie, około 60 lat temu jako terrorystyczne, otwarcie określały siebie dwie bardzo bezwzględne i efektywne organizacje żydowskie „Banda Sterna” i Irgun Cvai Leumi”, które zwalczały administrację brytyjską, skutecznie przerażały większość palestyńską, i walnie przyczyniły się do powstania w 1948 roku państwa Izrael. Icchac Szamir, późniejszy premier, organizator pierwszego masowego zamachu terrorystycznego w XX wieku na hotel „King Dawid” (91 zabitych, 45 rannych – 1946) nie miał żadnych wątpliwości, uważał, że takie radykalne akty terroru są najbardziej skuteczne w walce o suwerenność narodową. Był to chyba ostatni przypadek dumnego przypisywania sobie miana „zgrupowanie terrorystyczne”.

W drugiej połowie XX wieku władze europejskich państw kolonialnych wszelkie działania zwalczających je ruchów narodowyzwoleniczych w Azji i Afryce nazywały terroryzmem. Podobnie czyniły i czynią różne reżimy postkolonialne i niedemokratyczne władze wobec struktur walczących o lokalną autonomię, prawa obywatelskie, człowieka itp. Przywódcy ruchów wyzwoleniczych i emancypacyjnych odrzucali i negują sens nazywania ich terrorystami i ugrupowaniami terrorystycznymi. Po zamachu 11 września 2001 roku „(...) wszystkie organizacje zbrojne uwikłane w lokalne konflikty w każdym zakątku naszej planety uznano za organizacje terrorystyczne i za wrogów Stanów Zjednoczonych” (s. 11). W poprzednich latach agendy specjalne rządu Stanów Zjednoczonych inspirowały, motywowały, zasilają finansowo, technicznie i kadrowo wiele podobnych struktur, ponieważ było to w interesie polityki tego państwa. Czyniły to oczywiście na ogół w ścisłej konspiracji.

Druga strona prezentuje całkowicie inny punkt widzenia. Już w 1974 roku na forum ONZ jeden z najbardziej znanych przedstawicieli świata arabskiego Jasir Arafat (według jednych wielki terrorysta, według innych zasłużony bojownik o wolność Palestyny) tymi słowami pobudził do dziś trwającą kontrowersyjną dyskusję o istocie terroryzmu: „Jeżeli ktoś stanie w obronie słusznej sprawy i będzie walczył o wolność swojego kraju z najeźdźcą, osadnikami czy kolonizatorami, nie można go nazywać terrorystą” (s. 22). Na pytania: co jest słuszną

sprawą, czyje racje są sprawiedliwe i moralne itp., niestety, znajdują często odmienną odpowiedź.

Jeden z rozmówców autora powiada na koniec: „Dziś słowo terrorysta oznacza muzułmanina walczącego o honor i godność. Jeżeli chcesz takich ludzi nazywać terrorystami, to twoja sprawa. Dla mnie członkowie Al-Kaidy to bojownicy o wolność” (s. 41).

Wydaje się, że nikt rozsądny nie ma wątpliwości, że zamachy z 11 września 2001 roku to akty terroryzmu, które podobnie jak wiele innych należy potępić. Okazuje się, że nie tylko nieliczni fundamentaliści islamscy, ale także miliony muzułmanów na świecie mają inne zadanie.

Od dziesiątków lat próbujemy zrozumieć i zdefiniować terroryzm, ale dalecy jesteśmy od bezdyskusyjnych ustaleń. Podobnie jest z wieloma innymi patologiami, nie tylko politycznymi. Bardzo znany badacz terroryzmu zauważył: „Terroryzm jest jak pornografia – nie sposób go dokładnie zdefiniować, ale jeśli się zobaczy akt terroryzmu, wiadomo, czym jest”⁷⁵⁹. Dodajmy – zależy, kto patrzy i co widzi? A nierzadko bywa tak, że różni ludzie patrzą na to samo i widzą każdy, co innego albo to, co wczoraj określali mianem „A”, dzisiaj nazywają „B”, a jutro „C”.

W rozdziale drugim zatytułowanym *Wojna o słowo* Autor nader obrazowo i empirycznie ukazuje wątpliwości i dwuznaczności posługiwania się terminami „terroryzm i terrorysta”, w kontekście jednej z najkrwawszych, najokrutniejszych wojen wewnętrznych o władzę w drugiej połowie XX wieku w Algierii oraz na tle wojny o niepodległość Algierii i pozbycie się rządów Paryża. W latach pięćdziesiątych w Algierii przez osiem lat trwała bezwzględna masakra, w której obie strony, z determinacją spotykaną niezbyt często, zabijały wroga, w tym przede wszystkim bezbronnym cywilów. Celem strony francuskiej było nie tylko wyeliminowanie jak największej liczby buntowników (terrorystów) algierskich, ale także wywołanie powszechnego zastraszenia oraz upadek zbiorowej woli walki o suwerenność i utrzymanie władzy. Cel instrumentalny algierskiego ruchu niepodległościowego był dość podobny – zabijać i przerażać funkcjonariuszy władz kolonialnych i francuskich osadników, cel zaś strategiczny – pozbyć się Francuzów i wyzwolić Algierię. W 1961 roku 1,5 mln osadników francuskich opuściło Algierię, a rok później Paryż wycofał się na pozycję postkolonialną.

Wymownym przykładem wzajemnego terroru była rzeź ludności cywilnej pod koniec sierpnia 1995 roku w El-Halia. Miejscowi rebelianci z niezwykle bestialstwem zamordowali 71 europejskich osadników. „Poderżnięte gardła, odrąbane kończyny, kobiety w wyprutych wnętrznościach, dzieci roztrzaskane o mur. Masakra miała zaszokować i przerazić Francuzów. I tak też się stało” (s. 61). W zemście francuscy spadochroniarze, według ich źródeł, zabili 1273 „terrorystów”, natomiast według udokumentowanych danych algierskich, w tym odwecie zabito 12 tys. muzułmanów, w całej zaś wojnie o niepodległość zginęło około 1 mln Algierczyków. Metody walki obu stron były podobne, ale racje moralne odmienne. Kto w tej okrutnej wojnie był terrorystą, a kto bojownikiem

⁷⁵⁹ W. Laqueur, *Wojna na śmierć i życie: wywiad z...*, rozm. M. Fit-Czuchnowska, „Wprost” 2003, nr z 31 XII.

o wolność, kto walczył w wojnie sprawiedliwej? To pytania, na które odpowiedź dzisiaj wydaje się być dość jasna.

Zwycięstwo w pierwszej turze demokratycznych wyborów w 1991 roku odniesione w Algierii przez Islamski Front Ocalenia zaniepokoiło przeciwników miejscowych i wiele podmiotów zagranicznych. W 1992 roku w wyniku przewrotu władzę przejęła hunta wojskowa, która unieważniła wyniki wyborów. Wkrótce rozpoczęła się druga odsłona terroru w Algierii, tym razem o charakterze stricte wewnętrznym. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku, po uniemożliwionej próbie legalnego uzyskania władzy, islamiści z podobną bezwzględną determinacją, jak w wojnie z Francuzami, traktowali autorytarny rodzimy reżim, który, ich zdaniem, gwałcił odwieczne wartości islamskie. Rzezie i sianie przerażenia stały się głównym narzędziem walki stosowanym z nieograniczonym okrucieństwem przez obie strony. Służba bezpieczeństwa reżimu wojskowego niejednokrotnie zlecała makabryczne masakry i zabójstwa specjalnie wybranych lub przypadkowych osób, w celu zdyskredytowania islamistów w odbiorze międzynarodowej opinii publicznej (np. w 1994 r. poderżnięto gardła 7 włoskim marynarzom ze statku „Lucina”, w porcie Antaba, w przeddzień szczytu grupy G-7 w Neapolu). Islamiści nie ustępowali okrucieństwem stronie rządowej. Budzili powszechne przerażenie nie tylko wśród urzędników i funkcjonariuszy reżimu, ale także w szerokich kręgach społecznych pragnących żyć w społeczeństwie otwartym, nieteokratycznym. „Konflikt przerodził się w wojnę opartą na terrorze. Im brutalniej zachowywały się obie strony, tym większy wzbudzały terror i wydawały się potężniejsze. Jak się ma termin „terroryzm” w stosunku do tego typu wojny?” (s. 62). Autor dochodzi do wniosku, że uzasadnione byłoby użycie tego pojęcia do opisu działania obu stron: reżim stosował terror, by pokonać terrorystów islamskich, islamiści zaś stosowali terror, by zwalczyć terrorystyczny rząd w Algierze. Choć użycie tego słowa wydaje się uzasadnione, to jednak Phil Rees w swoim głośnym reportażu filmowym nie nazywa obu stron terrorystami. Uznał, że byłoby to zbyt groteskowe. Co ciekawe, po wyemitowaniu reportażu w telewizji satelitarnej rząd w Algierii zareagował bardzo agresywnie. Określił Reesa jako tajnego agenta CIA i próbował podważyć walory informacyjne tego obiektywnego dokumentu.

W kolejnych rozdziałach Autor równie obrazowo, obiektywnie i refleksyjnie pobudza czytelników do krytycznego namysłu nad kwestią zawłości, pokrętności i dwuznaczności semantycznej, moralnej i empirycznej stosowania terminu „terrorysta”, „terroryzm” i innych określeń z nimi związanych, np. „wojna z terroryzmem”. Nierzadko są one raczej zręcznymi metaforami praktykowanymi w krwawej walce między określonymi wrogimi stronami, niż obiektywnymi pojęciami, opisującymi istotę skomplikowanej materii i zabiegania o wpływy polityczne i władzę nad ludźmi i kapitałem.

W rozdziale *Wróg zwany terroryzmem* znajdziemy opis, niełatwych do zrozumienia, meandrów najnowszej historii Afganistanu. Analiza tygla wydarzeń na przełomie XX i XXI wieku, w tej części Azji nigdy nieopanowanej przez siły zewnętrzne i nie mającej dobrych doświadczeń państwowych, została dokonana w świetle działań podjętych przez Stany Zjednoczone w ramach ogłoszonej jesienią 2001 roku „wojny z terroryzmem”. Na przełomie wieków tereny afgań-

skie zdominowane przez jednego z głównych aktorów tamtejszej sceny polityczno-etniczno-religijnej, tzn. przez talibów, stały się kuźnią ekstremizmu islamskiego, który krwawo ujawnił się w różnych odległych miejscach świata. Głównym aliantem miejscowym w „wojnie z terroryzmem” stał się Sojusz Północny, czyli różne ugrupowania islamskie, zwane niegdyś mudżahedinami ludowymi, które walnie przyczyniły się do klęski wojsk radzieckich i ich wycofania z Afganistanu w roku 1989. Nie byłoby to możliwe bez bezpośredniego, w tym finansowego wsparcia Stanów Zjednoczonych Ameryki, którym kierowała Centralna Agencja Wywiadowcza. Idea walki z komunistycznym złem szczerze zasilana z zewnątrz zainicjowała międzynarodową solidarność islamistyczną oraz przyciągnęła do Afganistanu tysiące bojowników, którzy przybywali na świętą wojnę m.in. z Arabii Saudyjskiej, Egiptu, Libii, Somalii, Palestyny, Pakistanu i Jugosławii. Wielu z nich, krzepnąc religijnie i militarnie w walce z radzieckim szatanem, stanęło potem w awangardzie walki z innym, silniejszym wrogiem, który był i jest groźniejszy, ich zdaniem, bezprawnie obecny na rdzennych ziemiach islamskich. W ten sposób dawny animator i sponsor radykalnych bojowników islamskich stał się ich podstawowym obiektem agresji, a islamista, nie tylko talibański, głównym wrogiem w amerykańskiej „wojnie z terroryzmem”.

„Gdy zimna wojna skończyła się, zachód przestał się interesować Afganistanem (...). Afganistan stracił polityczne znaczenie, a o przywódcach mudżahedinów zapomniano aż do roku 2001” (s. 88). Zapomniano całkowicie o tej tak ważnej części świata, co zaowocowało pogłębieniem anarchii oraz wyniszczającą walką wewnętrzną między przeciwnymi odłamami islamskimi, posiadającymi różne korzenie etniczne. I mudżahedini, i talibowie stosowali podobne metody walki, ale ci drudzy okazali się bardziej sprawnymi bojownikami (terrorystami) i uzyskali władzę nad rozległymi obszarami Afganistanu, spychając pierwszych w odległy region północno-wschodni.

Po hiperzamachach z 11 września 2001 roku i wielkim szoku w Stanach Zjednoczonych Ameryki przypomniano sobie o mudżahedinach. „Wówczas to Zachód ponownie narzucił reszcie świata własną ocenę moralną skomplikowanej sytuacji politycznej w Afganistanie. Reżim talibów, który przejął władzę pięć lat wcześniej, teraz stał się niekwestionowanym wrogiem publicznym. Niemalże z dnia na dzień mudżahedini przestali być buntownikami kontrolującymi odległy region Afganistanu, a stali się siłami wyzwoleniczymi tworzącymi Sojusz Północny” (s. 88). Aliantami Stanów Zjednoczonych w wojnie z terroryzmem stało się wiele fanatycznych grup islamskich, które wcześniej w bratobójczej walce niszczyły siebie, miasta, produkowały i handlowały narkotykami, strzelały do samolotów pasażerskich i ludności cywilnej itp. Były one jednak bardziej elastyczne politycznie i zachłanne finansowo. Upadek talibów w dużym stopniu był związany z przekupieniem dziesiątków przywódców etnicznych, którzy wcześniej byli sojusznikami talibów. Pod koniec tej części pracy Rees pisze: „Rozśmieszyła mnie myśl o agentach CIA opłacających dawnych talibskich dowódców i budujących przy pomocy łapówek sojusze” (s. 103). Zapisuje też nieco cyniczną myśl, możliwą islamską definicję terrorysty: „(...) osoba, która nie przyjmuje łapówek od Amerykanów i kwestionuje prawo Stanów Zjednoczonych

do najazdu na jej terytorium” (s. 103). W tym kontekście warto przypomnieć kolonialne powiedzenie: „Nie można kupić Afgańczyk; można go jedynie na chwilę wynająć” albo, dodam od siebie, stale sownie płacać, nie mając pewności, co do jego lojalności. Szkoda, że moi tego świata jakby całkiem zapomnieli o specyfice kulturowej, historycznej, ekonomicznej itp. Afganistanu i nie tyle łądzą się, co retorycznie próbują zaczarować rzeczywistość narracją o budowaniu w nim demokracji ma modłę zachodnią.

W rozdziale pt. *Wojna jako metafora* Rees dokonuje interesującej charakterystyki stosowania pojęć „terroryzmu” i „walka z terroryzmem” w warunkach wojny domowej w Kolumbii. W tym południowoamerykańskim państwie od około 40 lat toczy się wojna wewnętrzna między rządami w Bogocie, które niezmiennie reprezentują interesy stosunkowo wąskich kręgów elit ekonomicznych i politycznych, a skrajnie lewicowymi, marksizującymi Siłami Zbrojnymi Kolumbii (FARC). Te ostatnie, choć znane są z niezwyklej bezwzględności i brutalności (zabójstwa, porwania, inne zamachy, promowanie uprawy narkotyków i handlu nimi), utrzymują duże poparcie biedoty wiejskiej i miejskiej oraz kontrolują ponad jedną trzecią kraju. Dysponują około 18 tys. partyzantów. FARC powstały w 1964 roku z politycznym zamiarem przejęcia władzy lub współuczestniczenia w niej. Mimo wieloletniej determinacji Bogoty, wielu miliardów dolarów i innych form bezpośredniego wsparcia Stanów Zjednoczonych, próby wyeliminowania fizycznego FARC nie dały istotnych skutków. Walki między siłami rządowymi, prawicowymi organizacjami paramilitarnymi a ugrupowaniami lewicowymi pochłonęły co najmniej stokilkadziesiąt tysięcy ofiar śmiertelnych, utrzymują stan anarchii i terroryzmu powszechnego.

Nazywanie dawnych partyzantów, rebeliantów czy bojowników oraz tych, którzy z nimi współpracują zwykłymi terrorystami, wpisanie trzech organizacji wywrotowych z Kolumbii na listę struktur terrorystycznych, jak to uczyniono po 11 września 2001 roku, wydaje się być nader dyskusyjne, wątpliwe, makiaweliczne itp. Zapewne wskazywanie FARC jako globalnego wroga bezpieczeństwa i wspieranie walki z ekstremistycznymi siłami lewicowymi w ramach metafory pt. wojna z terroryzmem w żadnym stopniu nie przyczyni się do końca prawdziwej wojny wewnętrznej w Kolumbii.

Nader wymownie i krytycznie odnosi się do stosowania tej metaforycznej retoryki i do działań z nią związanych osoba doskonale znająca Amerykę Łacińską, dawny ambasador Stanów Zjednoczonych w Salwadorze w czasach krwawych rządów wojskowych, Robert White: „Nazywanie którejkolwiek ze stron organizacją terrorystyczną jest bezcelowe. (...) Stany Zjednoczone powinny wywierać presję na FARC, by przystąpiły do negocjacji” (s. 129). „(...) Wymaga to poświęcenia ze strony niewielkiej grupy bardzo bogatych ludzi, którzy od lat sprawują kontrolę nad Kolumbią” (s. 130). „(...) Nie można utrzymać, że ruch partyzancki, który przejął 40 procent terytorium kraju i stworzył struktury zapewniające kontynuację działalności na wiele, wiele lat, da się wytłumaczyć jedynie chęcią zdobycia materialnych zysków” (s. 133).

Trzeba zgodzić się z Autorem, który uważa, że jedynym racjonalnym rozwiązaniem dramatu politycznego w Kolumbii może stać się demokratyczne uwzględnienie interesów 60% ludności tego państwa, która wegetuje w skrajnej

nędzy. Machinacje polityczno-ideologiczne i zewnętrzne militaryzowanie tego kraju w atmosferze „wojny z terroryzmem” jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

W kolejnych rozdziałach Rees analizuje podjęty problem interpretowania i nadużywania pojęcia „terroryzm” w kontekście realnej sytuacji społeczno-politycznej w Palestynie i Iraku (*Terroryzm sposobem budowania państwa*), w Serbii i Kosowie (*Terror i status quo*), w Kambodży (*Terroryzm państwowy*), w Hiszpanii (*Terror i demokracja*), na Bliskim i Środkowym Wschodzie (*Źródła globalnego terroryzmu*), w Europie (*Źródło gniewu* i *Terror na Nilu*), w Iranie i Libanie (*W imieniu ciemionych*), w Indiach i Pakistanie (*Śmierć bojownika o wolność*), na wyspie Bali (*Świat w stanie wojny*) oraz w Europie Zachodniej (*Bóg rebelii*).

Na zakończenie rozważań, na podstawie osobistych doświadczeń reporterskich, licznych spotkań i „kolacji z terrorystami” Phil Rees pisze i przestrzega: „Bez precyzyjnego zdefiniowania, czym tak naprawdę jest terroryzm, tzw. wojna z terroryzmem będzie hasłem usprawiedliwiającym wszelkie działania armii amerykańskiej, gdyż pozwoli szukać zagrożeń w dowolnym miejscu na świecie (...). Terroryzm będzie słowem wytrychem odnoszącym się do wszystkich, którzy zakwestionują status quo, i dla wszystkich ideologii, począwszy od wojującego islamu, przez wyłaniające się sentymenty narodowościowe, a skończywszy na antyglobalistach. Świat staje wobec realnego zagrożenia trwałym konfliktem z trudnym do zdefiniowania przeciwnikiem” (s. 423).

Książkę Phila Reesa *Kolacja z terrorystą. Spotkania z najbardziej poszukiwanymi bojownikami na świecie* polecam nie tylko specjalistom i studentom zajmującym się problematyką bezpieczeństwa, ale także wszystkim czytelnikom złąknionym kontaktu z myślą, która nie poddaje się presji sugestywnych i dominujących schematów politycznych i poznawczych.